

# Pytania i odpowiedzi

## Krağ Vendariona: Drzewo Lidhmana

Autor: Piotr Grochowski

### */Krypta w Piramidzie, sto mil na wschód od Pyros, jesienią roku 62./*

Pośrodku rozległej sali rosnęło drzewo. Jego czarny pień wyglądał jak wykonany z upiornego żelaza, poskręcany i błyszczący; bezlistne gałęzie drapały przestrzeń tuż pod kopulastym dachem, drapieżne korzenie rozrywały gładką niegdyś posadzkę, teraz potrzaskaną i pokrytą brunatnym osadem. Powietrze wypełniała woń stęchlizny, pozostałych zapachów Brion Kroeger nie potrafił rozpoznać, ale były obce. Odpychające. Budzące przerażenie. Zło, najczystsze, najgorsze z jakim kiedykolwiek się zetknął.

Agent wiedział, a przynajmniej, najusilniej jak potrafił, starał się przekonać o tym samego siebie, że jest bezpieczny. Salę odgradzono specjalną barierą, pół-widzialnym, błękitnym szkłem wykonanym z cząstek *blevisa*. Obecna technologia „M” była sto razy bardziej zaawansowana niż wtedy, gdy bomba z odpowiednim ładunkiem eksplodowała nad Wyspą Mgieł. Żadna cholerna emanacja, Magia lub oczarowanie, nie byłyby w stanie przedrzeć się na zewnątrz. W teorii, wedle wiedzy, którą na ten moment posiadała Agencja, był bezpieczny.

Drzewo wyjęte z koszmarów żyło. Poruszało się. Niedostrzegalnie, niepokojąco metodycznie – jakby oddychało. Ze szczeliny w niby-korze, z czarnej jak smoła otchłani powolutku wychynęła postać. Brion zmrużył oczy. Był na to przygotowany. Raporty wskazywały, że wewnątrz pnia coś egzystuje. Czekał. Być może tego dnia miał ujrzeć ową postać w całej okazałości.

Człowiek? Jeśli tak, to był nim zaledwie w połowie.

„Jakże trafna diagnoza, jakże prawdziwy opis”, Brion zaśmiał się w duchu.

Prawa część ciała należała do „kogoś”: wychudłego mężczyzny; siwowłosego, bladokórego, pokrytego geometrycznymi tatuażami. Lewą stroną rządziło „coś”: zbudowana była z poskręcanych ze sobą lian, pnączy, zielonkawego ramienia zakończonych niby-dłonią, z rozcapierzonymi „chwytakami”, resztki niby-nogi pół-człowiek wlokł bezwładnie za sobą.

Gdy stwór zbliżył się do bariery, znalazł się w zasięgu silnego oświetlenia. Brion opuścił powieki. Na to również był przygotowany.

Głos, który usłyszał obok ucha, wywołał dreszcz:

– Nareszcie się pokazał – szepnął agent Toerien. – Co robimy... hm... szefie?

Brion dopiero teraz zdał sobie sprawę z faktu, że nie jest sam. Jego myśli gnały z prędkością ekspresu.

– Posłuchajcie mnie, Toerien, bardzo uważnie. Wszyscy obserwatorzy i nasłuchujący, każdy sporządzający w tym momencie jakikolwiek raport, mają zniknąć. Do zewnętrznej strefy. Sprzęt nasłuchowy ma być wyłączony. W Krypcie zostają sam...

Toerien wciągnął powietrze, ale nie zdecydował się odezwać. Zapewne wyraz twarzy Briona musiał być odpowiednio wymowny.

– Wy także, agencie.

Toerien zawahał się. Szeroko otworzył oczy i zanim odszedł odezwał się, wskazując głową w stronę drzewa:

– Tak jest, szefie. Tyle, że w Krypcie nie będzie pan sam...

Brion Kroeger milczał.

\*\*\*

### ***/Miejsce starożytnego kultu Lumitów, wiosną roku 62./***

Max Lidhman starał się zebrać myśli, opierając się plecami o chropowatą, porośniętą bluszczem ścianę. W prawej dłoni ścisnął rękojeść rewolweru, w lewej bezużyteczną latarkę. Właśnie dotarło do niego, co stało się przed momentem. Stłukł szklaną końcówkę o czaszkę jednego ze swoich. Ale czy określenie „swoi” nadal pasowało do oszalałych agentów?

Jakież licho siedziało w tych murach? Lumici, przez wieki drażący korytarze, wykonali pod górą prawdziwe podziemne miasto. Ale, zapewne, sami w nim nie zamieszkali. Przeznaczone było zmarłym, o czym świadczyły komnaty grobowe, ale i jako miejsce kultu. I ten przypadkowy wybuch, „podmuch” Losu, a może prędzej „wyziew” Otchłani, ukazał zewnętrznemu światu ów skarb. Pieprzone kompanie górnicze Underhillów i ich żądza zdobywania skarbów.

„Doigrali się”, zawyrokował w duchu Lidhman. „Pytanie: czemu akurat ja mam się w tym teraz babrać?”

Jego najlepsi ludzie, zbierani przez miesiące, niektórzy latami, teraz stali się wrogami. Coś zdołało ich opętać, wtłoczyć im w oczy nienawiść, w żyły truciznę, w umysły morderczy plan. Przekleństwo musiało znajdować się w powietrzu, przecież każdy miał rękawiczki, zachowali wszelkie środki ostrożności.

„Dlaczego więc, ja żyję, myślę, jestem sobą?”. Odetchnął. „To nie powietrze”.

Wtedy pojawili się, na końcu korytarza, wyleźli zza rogu. Wysoki Hughes, przysadzisty Alan Crahms i niepozorny Berezowsky, na którego w centrali wołali „księgowy”.

Hughes kucnął, opierając się na pająkowatych rękach, podparł się kolanami i zaczął dziwacznie wykręcać szyję, łapiąc powietrze, jak jakiś upiorny ogar. Pozostali dwaj wyciągnęli ręce w kierunku Lidhmana, po czym ruszyli, potykając się i objając o ściany.

Max nie czekał, zerwał się do biegu, coś próbowało szarpnąć go za kostkę, ale nie śmiał spojrzeć w dół. Pociemniało mu przed oczami, mrugnął i wpadł do następnej części korytarza. Słyszał pościg, jego dawni towarzysze jęczeli i sapali...

Przebiegając przez zdobiony portal, otarł się o ścianę i poczuł dotyk – pnącza, jakiś rodzaj roślin, poruszały się i próbowały go opleść. Wyrwał się, poślizgnął i trzasnął czołem w mur po drugiej stronie korytarza. Kolejny raz stracił wizję. Naprzemiennie jaśniało i ciemniało mu przed oczyma. Czuł dziwny smak w ustach, gryzło go w nosie...

„Powietrze, to jednak jest w powietrzu”.

Gdy uniósł powieki zobaczył salę – potężną, kopulastą przestrzeń.

Pośrodku tkwiło drzewo.

\*\*\*

### ***/Krypta w Piramidzie, jesienią roku 62./***

Rozpoznał go od razu. To, co pozostało w nim ludzkiego, grymas na połowie zniekształconych ust i przenikliwy błękit prawego oka, wyostrzało się jeszcze bardziej w obliczu potworności, którą stała się druga część jego ciała.

Brion dostrzegął te szczegóły, choć znał Maxa Lidhmana niespełna dwa lata. Ledwie dwadzieścia jeden miesięcy, do dnia tej przeklętej misji. Lidhman, jako szef projektu „Zwierciadło”, sam zdecydował kto ma w niej wziąć udział, a kto ma pozostać w Memorii. Zabrał najlepszych operacyjnych. Może zbyt pobieżnie rozpoznał niebezpieczeństwo? Albo popełnił jakiś błąd? Brion, pomimo całej powagi sytuacji, uśmiechnął się pod nosem.

„Błąd Lidhmana? Nie może być. Ten agent się nie mylił. Przenigdy...”.

Więc co u licha miało tu miejsce? Zmrużył oczy. Zdeformowane usta pół-człowieka poruszyły się.

– Brion... – wychrypiął po vendaryjsku. Jego niski głos poniósł się po sali. Brzmiał cholernie podobnie do głosu Maxa. Cholernie.

Brion Kroeger nie spieszył się. Leniwie sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął komponenty i skręcił sobie papierosa. Zapalił go, spoglądając w przestrzeń, w punkt usytuowana nieco na prawo od chwiejącego się po drugiej stronie stwora. Tafla ochronnej bariery lśniła błękitem *blevisa*.

– Nie spieszyłeś się – stwierdził, wydmuchując dym. – Kim... Czym jesteś?

Pół-człowiek przekrzywił głowę.

– Wiesz – odezwał się tym przeklętym głosem. – Wiesz doskonale...

– Powiedz mi.

Stwór zadrżał, w nienaturalny sposób wygiął szyję, coś tam strzeliło, chrupnęło. Żółtawe oko znajdujące się po lewej stronie, w płątaniu niby-roślinnych mięśni zamrugalo nerwowo. Z ust pociekła mu zielonkawa substancja...

– No dobrze. – Jęknął. – Nie jestem nim. Już nie jestem... Zadowolony?

Brion pokręcił głową.

– Czym jesteś – ponowił pytanie.

– Zasady – odparł pół-człowiek. – Winniśmy je ustalić. Tak czynią cywilizowani rozmówcy. Zarówno ty, Brion, jak i ja, dążymy wszak do porozumienia...

– Mów.

– Pytanie i odpowiedź. Prawda i wiedza za podarunek.

Brion wydmuchał dym i splunął na kamienne płyty posadzki.

– Pierwsza odpowiedź – położył nacisk na ostatnie słowa – za darmo.

Pół-człowiek mechanicznie kiwnął głową. Błękitna drobinka światła błysnęła w oku należącym kiedyś do Lidhmana.

– Czym jesteś?

Odpowiedź nadeszła w mgnieniu oka, ochryply głos poniósł się w przestrzeni:

– Twym błogosławieństwem, Brion. Szansą. Czymś zupełnie nowym, dotąd niespotykanym. Byłem ojcem Kurta i złotowłosej Racheli, sąsiadem z Alei Cyprysów, wiernym sługą vendaryjskiego narodu. Byłem wojownikiem i mędrce Bluszczowego Ogrodu, strażnikiem i pośrednikiem, i obiektem modłów lumickich szczepów. Przyjmowałem rozkazy i dary, udzielałem nagan i kar, żyłem i trwałem po dwakroć, przebyłem długą drogę – teraz stałem się jednością. Niespodziewanie. I, do stu piekieł, nijak nie potrafię ocenić, komu mam za to dziękować. Bo, że to, co mi się przytrafiło jest Dobrem, pozostaje dla mnie oczywistością.

– W jakież pokrętny sposób postrzegasz siebie jako moją „szansę”? – Brion bardzo powoli pokręcił głową.

Stwór milczał, więc agent dodał:

– To mieści się w ramach jednego pytania i jednej odpowiedzi, jak mniemam?

– Proponuję ci porozumienie, współpracę. Ty złożysz mi ofiary – ja obdarzę cię wiedzą.

– Mam uwierzyć, że twoje pochodzenie, to „czym jesteś”, czym się „stałeś”, przyda mi potrzebnej wiedzy... – Brion zmrużył oczy. – Powiedzmy, że przystanę na pewne zasady, ale i dorzucę garść swoich...

Pół-człowiek wykrzywił ludzką część ust w parodii uśmiechu. Czekał.

– Każde pytanie pozostanie w mocy tak długo, jak sobie tego zażyczę. Rozumiesz mnie? A twoja odpowiedź będzie jak jedna z tych „magicznych sakiewek bez dna” z legend Starego Świata. Gdy tylko zapragnę, będę mógł wrócić i pytać, pytać, pytać...

– Dlatego cię wybrałem – zachrypiał stwór. – Jesteś błyskotliwą przyszłością Vendarii, choć dla mnie, teraz, gdy widzę wszystko, cały ten świat mógłby, ot tak, zniknąć w Otchłani.

– Zgadzasz się? – Brion czekał, a gdy odpowiedziała mu cisza, uznał ją za przyzwolenie. – Teraz opowiedz mi o „ofiarach”.

\*\*\*

### ***/Lokalizacja utajniona, operacja „Zwierciadło-1”, jesień 62 r./***

Carlton Mugway patrzył na potężny podwójny sterowiec osiadający w pobliżu górskiego masywu na zaimprovizowanym kolistym lądowisku. Słyszał ryk silników, czuł silne podmuchy wiatru, niosące ogromne ilości czerwonego pyłu.

To wszystko było kłamstwem. Od początku aktualnego przydziału musiał trzymać gębę na kłódkę, a był przecież zwykłym inżynierem zatrudnionym przez władze. Nawet nie marzył, że kiedykolwiek dane mu będzie wiedzieć cokolwiek o działalności Agencji. A jednak. Potrzebowali specjalistów do zamontowania specyficznej bariery. Coś tam trzymali – pod ziemią, w krypcie. Nie wolno było pytać, rozmawiać na ten temat. No cóż, myśli Carltona nie potrafili powstrzymać. Więc wyciągał wnioski.

Stare lumickie ruiny były oficjalnie wymazane z map, utajnione. Wcześniej bywało tutaj więcej ludzi, teraz pozostała mała grupa – kilku strażników, agenci i paru naukowców, ale Carlton z nimi nie współpracował. Jego jedynym zadaniem była stabilizacja quasi szklanej bariery zbudowanej z użyciem cząstek *blevisa*. Oslona winna być stale aktywna, specyficzny pierwiastek miał być bezustannie ładowany energią, pobudzany do swoich skomplikowanych reakcji.

Cóż znajdowało się za barierą? Co poruszało się wewnątrz upiornego drzewa? Carlton przyglądał się uważnie, za każdym z trzech razy, gdy pozwolono mu zejść do głównej sali – ale nie miał pomysłu. Może znajdował się tam jeden z upiorów? Tych, z którymi walczyli komandosi, tęgie chłopcy w zielonkavo-czarnych uniformach. Agenci operacyjni z przeszkoleniem w Dun Mokh, jak słyszał. Władze mogły kadzić, ukrywać prawdę, ale Carlton wiedział – stwory z koszmarów istniały naprawdę, kultyści poszukujący śladów dawnych wierzeń także, świat nie był cukierkowy, jak ten z kinowych reklam. Jakiego stwora ukrywała Agencja? Cóż czaiło się w krypcie, za barierą?

Sterowiec przysiadł, hałas zelżał nieco, a wiatr uspokoił się. Carlton spojrzął na zegarek. „Kwadrans do kolejnego testu zabezpieczeń”, ustalił w myślach. „Zdążę wypalić jednego, nim zagonią mnie do środka”. Powiódł wzrokiem po skalistym pustkowiu.

To wszystko było kłamstwem. Ale Carlton Mugway miał gdzieś „prawdę”, uśmiechał się w myślach, przeliczając stan swojego konta w patrasyjskim banku.

Kłamstwa bywają tak opłaczalne.

\*\*\*

***/Dziennik osobisty Briona Kroegera, 14. 11. 62 r./***

*„Szaleństwo”. Tylko to słowo ciśnie mi się na usta. Odbylem trzecią wizytę, trzecią sesję u Drzewołaka. Tak mówi o nim Toerien, jeden z ośmiu ludzi wtajemniczonych w wewnętrzną operację. Uwierz, droga Zoe, że to wszystko pcha mnie coraz bardziej w mrok, coraz mocniej spycha mnie ze ścieżki, którą obrałem wiążąc swe życie ze służbą ojczyźnie. Teraz widzę tę całość zgoła inaczej, niż u początków. Po części dzięki Drzewołakowi. Nie śmiem mówić do niego, o nim, „Max”. A tak cholernie, z każdym dniem bardziej mi go przypomina. Jest jakaś cząstka, nie mam na myśli fizyczności, jakaś siła wewnątrz tego stworzenia, tej hybrydy, która chce mnie przekonać, że to coś jest człowiekiem. Moim mentorem, towarzyszem, przyjacielem.*

*„Szaleństwo”. O tak. Drzewołak posiadał wszystkie myśli Maxa Lidhmana, wszystkie jego wspomnienia, jego całe życie. W końcu, w połowie stworzony jest z jego ciała. Ale, to ważne i muszę trzymać się tej myśli, pamiętać i nigdy nie zapomnieć, że druga część – to obcy, przybysz, agresor, pasożyt, mianujący się „bóstwem”. Pochodzi z jednego z „Poza”, a do naszej rzeczywistości dostał się poprzez „Szczelinę”.*

*Zoe, to wszystko jest niewyobrażalne. Będiesz się śmiała, czytając moje słowa, bo przecież to właśnie ja chciałem zawsze otaczać się tymi legendami, opowieściami ze świata, który przeminął. Ale, przeraża mnie, wstrząsa mną do żywego, że ten świat, jakkolwiek zapomniany czy też pogrzebany, z powrotem budzi się do życia...*

\*\*\*

***/Krypta w Piramidzie, koniec roku 62./***

– Wróćmy do pytania numer trzy – zaczął Brion.

Drzewołak zrobił dwa kroki w prawo, trzęsąc się w ten swój charakterystyczny sposób i ciągnąc za sobą pozornie bezwładną, zdeformowaną niby-kończynę.

– Chodzi mi o „Poza”, a dokładniej o miejsca, w których łączy się ono z naszą rzeczywistością. Nazwałeś je „Szczelinami”. Wnioskuje, że jest ich niezmiernie duża ilość, i nie wszystkie służą tym samym celom...

Brion poprawił się na stołku. Oparł łokcie na biurku i splótł dłonie. W tle szumiała aparatura nagrywająca. Od drugiej sesji, wszystko było rejestrowane, tyle że materiały pozostawały w wewnętrznym obiegu. Szaleństwo.

– Wspominałeś – kontynuował pytanie – że przez owe „luki” mogą „przesączać się energia, sztuka i myśli”. Co to znaczy?

Drzewołał nie spieszył się, jak zwykle. Rozważał i kalkulował. Mrugał ludzkim okiem, zaciskał pięść pokrytą bladą skórą i tatuażami. Sam Lidhman był nieprzeciętnie inteligentny; teraz gdy połączył się z tym niezwykłym bytem – stanowili przerażającą mieszankę. Upiorny, podwójny umysł.

– To będzie cię kosztowało kolejny dar – wychrypiał. – Albowiem pragniesz wiedzy, która jest tylko z lekka powiązana z pytaniem numer trzy.

– Marna próba. – Brion uśmiechnął się, zatrzymując wzrok na puklu jasnych włosów, zwisającym, jak dziwaczny amulet, z szyi Drzewołała. – Zapłaciłem ci już.

Pół-człowiek sięgnął swą ludzką dłonią do pukla i pogładził go. Jego ręką wstrząsnął gwałtowny spazm. Burknął coś niewyraźnie, ale Brion rozpoznał to słowo: „Marylin”.

– Czy możemy?

– Zapłać – upierał się Drzewołał. – Czymś co zdoła ukoić mój ból...

– To utrudni sprawę, a mnie kończy się czas. Wiele się dzieje. Potrzebuję twojej pomocy.

– Nie będziesz musiał przygotowywać ofiary, chcę czegoś bliskiego. Czegoś, co posiadasz. Tu i teraz.

– Żądaj.

– Podaruj mi nieco swojej krwi. Kilka kropli. Dasz mi ją później, gdy skończę opowiadać. Ufam ci, zawsze byłeś słowny.

– Ludzie, których ci daliśmy – Brion zatrzęsł się z gniewu – nie zdołali „ukoić twego bólu”? – Zadrwił. – Oddaliśmy ci, do ciężkiej cholery, żywych ludzi, byś się pożywił. A teraz chcesz mojej krwi?

– Wstrzymaj swą wściekłość, ona żywi się niewiedzą i strachem – wyjaśnił Drzewołał. – A ja na każdym kroku staram się pomóc. Obiecuj mi to, o co proszę, a będziemy rozmawiać.

Brion odetchnął. Zapalił papierosa i zgodził się.

\*\*\*

Stwór mówił, a jego niski, ochrypły głos dudnił wewnątrz sali:

– To, co w Bluszczowym Ogrodzie zwane jest Snami, ludzie od niepamiętnych czasów określali jako Magia, czary i zaklęcia. Mówili o Domenach i Sztukach, ale nigdy, przenigdy nie dowiedzieli się, skąd owa moc pochodzi. „Magia”, pozostaliśmy przy tej nazwie, bo od początków używali jej ludzie czarodzieje, nie pochodzi z tej rzeczywistości; jest czymś obcym. Przesączała się przez Szczeliny, ze wszystkich bliskich i odległych Krain, zwanych „Poza”. Ludzie, magowie, czarnoksiężnicy i kapłani pożąдали władzy, a Magia potrafiła ową władzę zapewnić.

– „Przesączała” czy przesącza? – spytał Brion.

Drzewołek umilkł na chwilę.

– Błękitna zaraza, wywołana gdy człowiek po raz pierwszy odkrył złoża *blevisa*, była początkiem końca Magii. Pojawiło się coś, co potrafiło ją wstrzymać, unicestwić, choć ja skłaniam się ku teorii o „wyciszaniu i usypianiu”. Magii nie da się bowiem zupełnie zniszczyć.

– Bomba zrzucona na Taeir N’Og?

– Ten ładunek był silny niczym sto Piekieł, zabójczy, jak wydawało się vendaryjskimi przywódcom. Ale zdołał tylko na chwilę wstrzymać „przesączenie się”.

– Na chwilę?

– Rozejrzyj się Brion, ty wiesz to najlepiej, spośród wszystkich ludzi w Vendarii masz najszersze spojrzenie. Magia powraca, Sny się iszczą, budzą się Istoty. Pytanie, cóż zamierzasz z tym zrobić? Jak postąpisz? Jesteś jednym z graczy i, śmiem twierdzić, że korzystając z mojej pomocy, możesz stać się wiodącym prym.

– Zamaskowani? Oni też są graczami? I ich wrogowie? Armia? I ci, których Zamaskowani zwą „pradawnymi okrutnikami”?

– Opowiem ci o wszystkim, razem wyciągniemy z tego wnioski – rzekł Drzewołek. – Jak tylko złożysz mi kolejne ofiary, bo to wiele pytań.

– Nie tak szybko. – Brion zmrugał oczy. – To wszystko jest ze sobą powiązane. Będziemy pertraktować. Ale bardzo chętnie zapłacę ci za jedną konkretną rzecz.

Pół-człowiek czekał. Brion wydmuchał dym i wyjaśnił:

– Chcę wiedzieć, jaka korzyść z tego wszystkiego, wyniknie dla ciebie...

\*\*\*

***/Dziennik osobisty Briona Kroegera, 27. 11. 62 r./***

*Zastanawiam się, najdroższa. Wciąż się zastanawiam, co go napędza, co każe mu „trwać”, bo przecież „życiem” trudno to nazwać? Jego chęć pomocy wypływa, jak mniemam, z faktu,*



*iz pozostało w nim sporo z Maxa. Ten umysł, te idee, sposób doboru słów. Był nim, albo, za sprawą tajemnych mocy zdołał poznać jego wnętrze, i teraz doskonale je imituje? Zastanawiam się. Jakiż plan może przygotowywać ten stwór? Co drzemie wewnątrz jego jaźni? Ufam, że dowiem się tego.*

*Bywa niestabilny, mówiąc językiem nauki. Dwukrotnie już próbował mnie nakłonić do unicestwienia go. Był przekonujący – gdy tak cierpiał – widziałem przed sobą oblicze Maxa Lidhmana.*

*Innym razem staje się władczy – próbuje przejąć kontrolę nad naszą relacją. Wtedy przechodzi mnie dreszcz i czuję się jak w pierwszej chwili, gdy ujrzałem Drzewo. Czyste Zło. Ale przede wszystkim bywa pomocny, nawet bardzo, droga Zoe. Posiada sporą wiedzę, jakby przewertował stopy ksiąg, przejrzał niezliczone ilości antycznych zwojów – taki obraz, jakby wyjęty wprost z baśni i legend, prezentuje mi wyobraźnia.*

*Póki co, nie potrafię pojąć kim naprawdę jest, ale wiem – on nie pochodzi z naszego Świata. Dodawszy do tego nadnaturalnego bogactwa wiedzy tajemnej doświadczenie i przemyślenia Lidhmana, otrzymujemy idealnego analityka i informatora – doradcę i partnera. Dar od sił w których istnienie, jako Vendaryczyk, nie powinienem wierzyć.*

*Muszę uważać, droga Zoe. Paktując z nim, łamię wszystkie zasady, które winien jestem przestrzegać. Drzewolak ma swój cel, ale na ten moment nie potrafię tego rozgryźć, dobrze to rozgrywa. Muszę cholernie uważać.*

\*\*\*

### ***/Krypta w Piramidzie, koniec roku 62./***

Brion wiedział, że tym razem Drzewolak zinterpretuje to jako kolejne, zupełnie nowe pytanie. Należało jednak przyspieszyć i zacząć zyskiwać przewagę.

– W jaki sposób Zamaskowani potrafią okiełznywać Magię?

Stwór wykrzywił głowę.

– Rzeknę ci, kim nie są Zamaskowani. Nie mogą samych siebie zwać czarodziejami, o nie. Choć, podobnie do nich, posiadają coś, co można nazwać Źródłem, nadnaturalną cząstkę, pisaną tylko wybranym ludziom. Dzięki niej można czuć, spijać i wykorzystywać Magię. Czarodziej ćwiczy się w swym rzemiośle, a Zamaskowani zdają się być jedynie półświadomymi użytkownikami tego daru. Korzystają zeń trochę po omacku. I, pogląd mój opieram głównie na wiedzy Maxa Lidhmana, Zamaskowani nie są zdolni kreować zaklęć, ich dar odnosi się do konkretnej sfery, przedmiotu, manifestacji.

– Przedmioty...

– Zaiste. Przede wszystkim korzystają z przedmiotów...

\*\*\*

– Mawiano o nich różnie, nie zdołałbyś pojąć, drogi Brionie, jak brzmią owe nazwy w języku Bluszczu. Ale pamiętam kilka innych, używanych przez ludzkich magów: *Azimat*, *Muska* czy *Tayattu*. Nie są to jednak miana odnoszące się do przedmiotów. *Azimatami* nazywano miejsca, odległe i tajemnicze, w których rodziły się Moce. Przedmioty były tylko swoistymi łącznikami, manifestacjami właśnie i zwano je *Vogatami*. Były kwintesencjami, kluczami do wiedzy, pytaniami i odpowiedziami, stworzonymi by ludzie zdołali okiełznać zakazane Siły.

– By potrafili ich dotknąć – mruknął Brion.

– Tak. I najwięksi pośród czarodziejów poświęcili całe żywoty na wykonywanie Vogatów. A potem uzbrajali weń swoje armie.

Drzewołek umilkł na moment.

– Jak za czasów Czarnej Wojny, z tym, że ludzi Vendariona wysyłaliśmy my.

– To ciekawe stwierdzenie – wychrypiął pół-człowiek. – Ja jestem zdania, że Vendarion działał w pewien sposób samodzielnie. Tylko walczył po „odpowiedniej” stronie.

Brion pokiwał głową.

– Czyli żołnierze Kręgu, ci nasi dzierżący Vogaty, byli jednymi z wielu? To działo się przez wieki? Od zarania dziejów?

– Owszem, ale samych przedmiotów, do czasów Czarnej Wojny zostało się niewiele. Trzyznaście zdołał zgromadzić Vendarion, nie jest mi wiadome ile odnalazł Cranios. Ty studiowałaś te zagadnienia...

Brion machnął ręką.

– To akurat zdaje się teraz nieistotne. Chce wiedzieć więcej o samych Vogatach. Ich posiadacze...

– „Posiadacze”? – ryknął Drzewołek, a potem po prostu zaczął wydawać z siebie dziwaczne, chrapliwe odgłosy, będące parodią śmiechu. – Niech mnie, te przedmioty to manifestacje sił kumulujących się w *Azimatach*. Nijak człowiek nie zdołałby ich „posiąść”. Vogaty pozwalają się używać, dzierżyć. Ale mają własną, nieodgadnioną wolę. Nieraz to one same „posiadają” człowieka... I nierzadko same wybierają sobie „opiekuna”...

\*\*\*

Było dobrze po północy, w powietrzu unosił się zapach ciepłego deszczu i smażonych ryb, w górze grało jakieś radio, przecnicę obok kobieta, zapewne ladacznica, zlorzeczyła wymyślnymi słowami. Noc, jakich wiele w Małym Quan.

Mae-Thai łapała oddech gwałtownymi haustami, dygotała i szczękała zębami. Tak działał najpotężniejszy z istniejących bogów – Strach. Dawno przestała wierzyć w quańskie gusa, w moc modłów i przepowiedni swego pierwotnego ludu. Tamci bożkowie, dziwaczne stworzenia i ich *Mówcy pośród żywych* pozostali daleko, daleko za oceanami – w prawdziwym Quan. Tutaj, w Vendarii, ich czary nie działały. Tutaj rządził człowiek i jego najpaskudniejsze instynkty.

Vendaryjscy wyznawcy czcili dymne wino, proszkowane sny spalane w kościanych lufkach, cielesne igranie ciał natartych balsamami i przemoc podarowaną przez los. No i Strach. To jego wielbili ponad wszystko. Quanowie, którzy osiedlali się w Vendarii od dziesiątek lat, stawali się nowym gatunkiem. Musieli się dostosować, może zbyt słabi, by przeciwstawić się nowemu światu.

Mae-Thai, tak po prawdzie, nie była Quanką. Nie w pełni. Co prawda matka dziewczyny pochodziła z Czerwonego Wybrzeża, z podmiejskiej wioski pełnej bambusowych chat, umieszczonych na solidnych palach wbitych w dno morza, ale Mae-Thai nie potrafiła przypomnieć sobie matczynego imienia – sprawił to Strach. Ojciec, wysoki jasnowłosy Vendaryjczyk, pozostał we wspomnieniach dziewczyny jako statua, posąg, obcy kamienny bożek. Widziała go zaledwie kilka razy – wszystkie zdjęcia, które posiadała matka, zabrała woda.

To był zły pomysł, przeklęty podszept losu. Jak niby pośród milionów ludzi odnaleźć tego jednego? Po tylu latach? W odległym kraju? „Umierającej matce nie odmawia się marzeń”, coż za głupiec wymyślił te słowa?

Popłynęła. Z rzeszą jej podobnych biedaków, z tobołkiem podróżnych drobiazgów, na pokładzie wielkiego cuchnącego statku. Za pracą, za marzeniami, za wskazaniem losu. Zamknęła listek w drobnej piątce. Metalowy, wytarty – jedyne, co pozostało z jej dawnego życia. Pieprzony listek, kaprys przeznaczenia. Splunęła krwią z rozciętej wargi.

Zbliżali się.

Trzech mężczyzn – chudych i żyłastych, zręcznych i opętanych snami. Sny zawsze widać w oczach. Nawet nie musiała się im dokładnie przyglądać. Mae-Thai doskonale wiedziała, kogo okradła i jakich drabów ten ktoś najmuje do załatwiania spraw.

Przywarła plecami do skrzyni. Powiodła wzrokiem po zaułku, starając się coś wymyślić. Nie miałyby szans z dwoma, trzech – to oznaczało koniec. Strach szeptał do niej z głębi duszy.

Wtedy, gdy myśli Mae-Thai zaczęły krążyć już tylko wokół najstraszliwszych z możliwych rozwiązań, poczuła ból. Palący, piekący i narastający. I swąd, mdlący zapach palonego ciała. Gwałtownie rozprostowała palce. Listek, spadając na bruk, przeistoczył się w duży metalowy przedmiot. Zakończony ostrymi krawędziami kształt uderzył o kamienie w asyście wysokiego, czystego dźwięku – przywodzącego na myśl dawno niesłyszany instrument. Mae-Thai mrugnęła; między jednym a drugim opadnięciem powiek dostrzegła ranę wypaloną na lewej dłoni. Lecz wtedy ból odszedł. Zupełnie.

A Strach – ponownie, ale jakże inaczej – przemówił do niej wewnątrz duszy.

\*\*\*

Pierwszego cięła od dołu, z całych sił – zaatakowała, wykorzystując jego ignorancję, pychę i zaskoczenie. W końcu wytatuowani opryszkowie walczyli z dzieckiem, z dziewczynką. Mogła mieć jakieś trzynaście, najwyżej piętnaście wiosen; była chuda, brudna, w potarganej koszuli, z nogami owiniętymi czymś na kształt szarych bandaży. Głową sięgała im do wysokości piersi.

Gordon Kang przeklinał w myślach samego siebie, swoją bezsilność, strach i cholerny los. Stał tam z rękami zaciśniętymi na uchwyty kosza z odpadkami i tylko patrzył.

Pierwszy z drabów chwycił się za brzuch, spod zaciśniętych rąk zaczęła wypływać krew. Wciąż miał zaskoczoną minę. Pozostali dwaj otrząsnęli się z pierwszego szoku i rzucili do walki. Jeden ścisnął w rękę okutą pałkę, drugi trzymał maczetę.

Mała uniknęła ciosu, zanurkowała pod ręką dzierżącą kij i cięła w przelocie. Zaraz potem zbiła uderzenie długiego ostrza i po zaułku poniósł się jękliwy, śpiewny odgłos metalu uderzającego o metal. Ten z pałką wypuścił broń z ręki i chwycił się za prawy bok. Jego rozchełstana koszula zabarwiła się w tym miejscu czerwienią. Ostatni oprych machnął po raz kolejny. Mała uchyliła się, zgrabnie tańcząc na lewej nodze, jej stopy ledwie muskały bruk. Jeszcze jeden unik i stanęła za jego plecami. Pchnęła krótko, szybko i z zadziwiająco dużą siłą. Ostrze wyszło brzuchem, wytatuowany drab parsknął krwią, maczeta wypadła mu z tracącej władność dłoni. Osunął się na kolana, a później na twarz. Jego kompani konali tuż obok. Życie uchodziło z nich szybko, kropla za kroplą, wsiąkając krwią w szpary między kamieniami.

Gordon patrzył. Broń, którą walczyła dziewczyna, wziął w pierwszej chwili za nóż – rękojeść owinięta była kawałkiem szmaty. Teraz widział wyraźniej – to było ostrze, z tych,

które nasadza się na kij, na drzewce. Przypomniął sobie: żeleźce – tak się nazywał ów przedmiot. Gordon mógłby przysiąc, że ostry metal, przypominający kształtem płomień, jarzył się delikatnym, żółtawym światłem, ale – zganiał siebie w myślach – zapewne wysłużony wzrok płatał mu figle.

Mała rozejrzała się. Na moment ich spojrzenia się spotkały. W oczach dziewczyny próżno było szukać jakichkolwiek emocji. To właśnie to – o wiele bardziej niż zakończona przed chwilą gwałtowna walka – przerażyło Gordona. Pusty wzrok, ciemne, bezdenne oczy i poszarzała twarz. Jak jeden z tych quańskich demonów. Psiakrew...

Dziewczyna zerwała się do biegu, przeskoczyła przez najbliższy murek, pokonała ogrodzenie z metalowej siatki i zniknęła pośród zabudowań. Przez moment Gordonowi wydawało się, że w rękach małej dostrzegł drzewce, ale pokręcił głową i westchnął.

„Jeszcze tak daleko do świtu”, pomyślał. „Niech to wszystko szlag. Trzej martwi siepacze z Klanu Kugga, dziewczynka-demon, płonące ostrze i krew, cholernie dużo krwi”.

Ot, po prostu noc.

Noc, jakich wiele w Małym Quan.

\*\*\*

#### ***/Dziennik osobisty Briona Kroegera, 5. 12. 62 r./***

*Co do pewnych spraw, moja droga Zoe, nareszcie mam jasność. Zaczynam odzyskiwać nadzieję, że zdołam przejąć kontrolę, może nawet uda mi się wygrać. Ze wszystkimi, bo jak się okazało, wrogów jest co niemiara. Zamaskowani – tylko oni – to było by zbyt proste. Przyszło mi mierzyć się z przeciwnikami dookoła, a także z tymi, pośród własnych szeregów. Ufam, że zdołam wypracować sobie świeże spojrzenie, by dostrzec sedno.*

*Nie ma nic za darmo, złożyłem odpowiednie ofiary. Inaczej się nie dało. Drzewołak łaknął i został „nakarmiony”. Nie przez przypadek napisałem to właśnie słowo. On wchłonął trzech ludzi, zaciągnął ich do wnętrza Drzewa. „Pożarł” ich. To byli więźniowie, szubrawcy i okrutnicy i w całej Vendarii nie znalazłabyś jednej osoby, która by ich żałowała, ale czułem niepokój. To było złe, nie w sensie moralnym, ale po prostu Złe – fundamentalnie. I pukiel włosów od Mary, jego żony. Nadal mówi o niej „Marylin”. Na Otchłań, Zoe to szaleństwo. Później wieczne pióro ze zbiorów Maxa, z dokładnie określonego etui. Czarno-złoty Theron napęczniony granatowym inkaustem. Żadnej kartki, tylko to pióro. Chciał także dwóch kart z Talii Wędrowca: „Żelazną Drogę” i „Ostoję Głupców”. Kupiłem je po drodze, pachniały świeżym tuszem, nie miał obiekcji. Kiedyś, ręka drży mi, gdy to do Ciebie piszę, chciał fiołkę mojej krwi... Dałem mu ją. Na koniec, przy dwóch ostatnich pytaniach zażądał*

*najdziwaczniej: „Zegar od Renzburga, z roku dwudziestego czwartego, wysoki na piętnaście palców oraz zwiniętą w rolkę tapiserię z sieci domów handlowych Jules-Gordimer z wzorem przedstawiającym motyle”. Szaleństwo.*

*Mam jeszcze wiele pytań, ogromna ilość spraw wymaga wyjaśnienia. Szykuję się na kolejne ofiary. Ale mam twą twarz przed oczyma, ukochana. Ogarnia mnie spokój.*

\*\*\*

### ***/Krypta w Piramidzie, jesienią 63 r./***

Drzewołąk, zdawało się, miał dobry humor, o ile w ogóle można było użyć takiego stwierdzenia.

– Tęskniłem, Brion – wychrypiał na wstępie. Agent zapalił papierosa i zbył słowa pół-człowieka.

– Nie staraj się być tym, kim nigdy się nie staniesz – odparował.

Drzewołąk zadrżał, chrupnął nie-ludzką ręką i, przechylając głowę, zadrwił:

– Czy aby słowo „nigdy” nie jest jednym z tych „niestosownych”, jeśli idzie o naszą profesję?

Brion wykrzywił się, splunął pod nogi.

– Naszą? Wątpię, abys mógł używać takiego sformułowania... Przejdziemy do rzeczy?

Stwór milczał chwilę, później skinął pół-ludzką głową i spytał:

– Zdołałeś go pojmać?

– Nie twoja rzecz, nie musisz wiedzieć.

– Gdy wiem, potrafię ci pomóc, nie odcinaj mnie...

Brion zmrużył oczy.

– Gdy zdecyduję, że w danej materii zechcę do czegoś wrócić, dowiesz się. Ruszmy dalej.

– Dym sprawił się dobrze?

– Nasz układ był prosty. – Brion zaczął się niecierpliwić. – Ja pytam, ty odpowiadasz.

Coś się zmieniło?

– Chciałbym kolejnej ofiary..

– Zaraz do tego przejdziemy. Przyniosłem ci coś, chciałbym poznać twą opinię.

Brion wyjął pakunek z wewnętrznej kieszeni paltka, odwinął materiał i wyciągnął przedmiot na dłoń, prawie dotykając połyskującej błękitem bariery. Drzewołąk także zbliżył się do granicy. Przypatrywał się dobra chwilę.

– Znam ten symbol – wychrypiał. – Runiczny znak odwołujący się do sił, jak wierzono, pogrzebanych dawno temu. Ale został zmodyfikowany. Wyraża zapowiedź...

Brion spojrział na obły kamień ozdobiony runą. Czerwień w czerni. Drzewołał odezwał się:

– Nim podam ci nazwę i podpowiem, gdzie masz szukać, musisz mi obiecać kolejną ofiarę.

– Słucham.

– Może to chwilę potrwać, mogę czekać... Chcę dotknąć mymi stopami ziemi w ogrodzie Lidhmanów, stanąć obok wielkiej, rdzawej donicy i spojrzeć na altanę, pokrytą bluszczem...

Brion zamknął oczy. Pokręcił głową i odpowiedział, cedząc słowa:

– To się nie stanie. Nigdy. Wymyśl coś innego, do jasnej cholery.

Pół-człowiek cofnął się.

– Dam ci wiedzę, której pragniesz, nagnę nasze zasady – rzekł odwracając się bokiem. – To „Nowy Legion”, sądzę, że nazwa będzie dobra. W jakiś sposób odzyskali siłę, odbudowują potęgę. W kamieniu tkwi Magia, czuję to nawet przez *blewisową* barierę... Zamaskowani, mówiąc o „pradawnych okrutnikach”, pewnie mieli na myśli tych, którzy starają się naśladować Craniosa. Ta runiczna Magia jest silna, świeża, łaknąca krwi... Będziesz musiał zareagować... Uruchomić ludzi na Kontynencie, przeszukać dawne sanktuaria, cmentarzyska, wszystkie miejsca związane z pamięcią o Craniosie, tam ich znajdziesz... Dopomogę ci...

Brion analizował usłyszane słowa. Wtedy Drzewołał dorzucił jeszcze zdanie:

– Znów to zrobiłeś, Brion.

– Co „zrobiłem”?

– Wypowiedziałeś słowo „nigdy”. – Stwór był już w połowie drogi do swojego Drzewa.

Mówił głośno, nie odwracając głowy: – A, musisz to pojąć, zrozumieć i zaakceptować, Brion. Ofiara zawsze winna być spełniona.

Agent specjalny Brion Kroeger nie odezwał się. Patrzył jak pół-człowiek wnika do czarnej jak smoła szczeliny w niby-korze. Stwór zatrzymał się w pół ruchu – widać było tylko jego ludzka połowę ciała. Usta poruszyły się. Dało się z nich odczytać dwa słowa:

„Ufam ci”.